

# Stanisław Mikke

---

## Misja : część 1 : Starobielsk-Charków

---

Palestra 36/1-2(409-410), 21-39

---

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Mikke

# M I S J A

## CZĘŚĆ I

### STAROBIELSK - CHARKÓW

*Pamięci  
Stanisława Mikke  
zamezonego w łagrze pod Archangielskiem*

*„Rzeczywistość jest do zniesienia, gdyż nie cała dana jest w doświadczeniu. Albo dana niejednocześnie. Dociera do nas w ulamkach zdarzeń, w strzępach relacji...”*

Dopiero tam, gdzie przeżyłem fragment okrutnej rzeczywistości, gdy usiłowałem myśli o niej „pozierać, unieruchomić i zrozumieć”, dopiero wówczas odczytałem do końca sens tych słów Zofii Nałkowskiej.

Chciałem jechać do Charkowa i Miednoje z bardzo osobistego powodu. Brat mego Ojca został zamęczony w łagrze pod Archangielskiem. Ciało wrzucano do jakiegoś dołu. Wiedziałem, że nigdy nie stanę nad Jego grobem. To już dawno zrodziło pragnienie, aby znaleźć się tam, gdzie dokonano masakry Polaków o podobnych życiorysach do jego losów. Urodziłem się po Jego śmierci, ale pamięć o tym wydarzeniu była dla mnie i jest nadal ważna. Zawsze pamiętałem, gdzie, w jakich okolicznościach i z a c o oddał życie. I miało to znaczący wpływ na moje wybory.

Miałem też nadzieję, że wyjazd ten zaowocuje czymś więcej niż dziennikarską relacją. Rzecz jasna nie chodziło mi o historyczne opracowanie. Ta właśnie

idea mi przyświecała w niemal rocznych przygotowaniach. Wydawało mi się, że mam pełną świadomość ryzyka. Bo przecież tylko nielicznym i bardzo wybitnym udało się znaleźć właściwe środki wyrazu. Ktoś bardzo mi bliski nawet powiedział: „Nie jedź, nie jedź tam. Jeśli książki - takiej znaczącej - nie napiszesz, to być może będzie to klęska twego życia”. Pomimo to zdecydowałem się. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że istnieją niewielkie szanse na wyrażenie wszystkich tamtych doświadczeń. Są to bowiem doświadczenia, które jakby nie poddają się przedstawieniu w jakiegokolwiek możliwej do przyjęcia formie.

Chociaż minęło już wiele tygodni od mojego powrotu, muszę ciągle pokonywać pewien opór, aby sięgnąć do notatek, wrócić na dłużej do tej sprawy i wreszcie mówić o tym, co się zdarzyło między 22 lipca a 31 sierpnia 1991 r.

Starając się usilnie o udział w polskiej misji zadawałem sobie pytanie, czy nie jest to z mojej strony swego rodzaju

nadużycie? Bo czy nie ma lepszych i godniejszych? Moje skrupuły zostały rozwiane dość szybko i to zgola w najmniej oczekiwanym sposób. Ale o tym później.

Przed wyjazdem zapoznałem się ze wszystkimi dostępnymi wówczas materiałami dotyczącymi zbrodni sowieckich umownie nazywanych do dzisiaj „zbrodnią Katyńską”, a które obejmują morderstwa popełnione na polskich jeńcach uwięzionych również w Starobielsku i Ostaszkowie. Krótkie rozmowy z zastępcą prokuratora generalnego Stefanem Śnieżko, szefem polskiej delegacji, w niewielkim stopniu przybliżyły mi ustalenia, jakie poczyniła w ostatnim czasie Naczelna Prokuratura Wojskowa Związku Radzieckiego. Mówił, że więcej danych jest w przypadku Charkowa, choć trudności mogą się mnożyć. W miejscu, gdzie miała się rozpocząć ekshumacja, chowano rozstrzelanych od 1930 r. Później, w czasie wojny, miasto przechodziło z rąk do rąk. Jedni i drudzy mordowali a zwłoki zakopywano w tamtej okolicy. Ponoć spadały tam też bomby. Z tego co mówił prokurator Śnieżko wynikało, że ci, którym powierzono śledztwo - prokuratorzy Naczelnej Prokuratury Wojskowej ZSRR - nie wszystko wiedzą. W ogóle mało wiedzą o miejscu pogrzebienia wymordowanych Polaków. Czy to możliwe? A może „partnerzy radzieccy” jak ich określa prokurator, nie mają dostępu do właściwego źródła. Jest przecież niepodobieństwem, aby gdzieś, u nich, nie było dokumentów jednoznacznie wskazujących te miejsca. Pojawiają się zatem pytania co do szczerości intencji. Notuję je w prowadzonym jeszcze przed wyjazdem dzienniku. I piszę, że widać tamtej stronie zależy, aby pozostał jak największy margines niepewności. Im mniej konkretów, tym lepiej. Bo przecież tylko fakty pozwalające się dookreślić mogą tworzyć historię. Jej pomniki. Reszta pozostaje legendą, powiadem

ludzi, przekazem nie do zweryfikowania. Czyżby właśnie tak rozumował mózg sowieckiego imperium? Odpowiedzi na te pytania, wyraziste odpowiedzi, mieliśmy niebawem otrzymać.

Dziesięć dni przed wyjazdem dowiaduję się, że mój udział w składzie polskiej ekipy ekshumacyjnej nie wchodzi w rachubę. Jest natomiast możliwość wyjazdu w charakterze dziennikarza. Pośpieszne załatwianie formalności i cały czas niepewność, czy zostaną zakwalifikowany. Wtedy tym wszystkim trudnościom nie dziwiłem się. Chodziło przecież o niezwykłe wydarzenie i chętnych - jak przypuszczałem - będzie bardzo wielu. Czekaniem więc z niecierpliwością na decyzję.

*18 lipca 1991 r. Jadę.*

*19 lipca. Ciągłe słyszę, abym zaopatrzył się w środki uspokajające. Nie. To trzeba przeżyć bez znieczulenia.*

*21 lipca. Spakowana walizka. Ostatni spacer po Starówce. Porywisty wiatr, ostre słońce. Wokół nastrój pogodny, radosny, zrywany tylko na moment widokiem zebrzącego narkomana - nosiciela wirusa HIV, brudną Rumunkę z maleństwem wyciągającym ręce po jałmużnę. Te smutne obrazki nie zakłócają jednak ogólnej sympatycznej atmosfery pełni lata. W tym wszystkim czuję się obok. Jakbym też dostrzegał wyraźniejsze kontury otoczenia. Może to, co oczekuje mnie od jutra, do tego stopnia nie pozwala się ogarnąć wyobraźni, że namacalna rzeczywistość staje się bliższa. Wyjazd jutro o 5 rano sprzed gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości...”*

22 lipca wyjeżdżamy o 6 rano. Jedziemy autokarem przez Lublin, granicę w Medyce przekraczamy o 15<sup>30</sup>. Podróż trwa trzy dni. Na około 50 km przed Charkowem oczekują na szosie prokuratorzy radzieccy, przedstawiciele Armii Czerwonej i KGB. Wzajemna prezentacja. Uśmiechy, serdeczne powitania. To drażni. Podobnie jak w czasie drogi roz-

bawiona kilkusobowa grupa dziennikarzy. „Nie bądź taki smutny, uśmiechnij się” - słyszę również potem. Było dla mnie, muszę powiedzieć, od początku całkowitym zaskoczeniem, jak może być różny odbiór, jak odmienne reagowanie na ten fragment historii, który uważam, przepraszam, jeśli tu się wkłada patos, za święty w pamięci naszego narodu. Nie mogę pojąć, jak wielu wykazało nie tylko obojętność serca, ale i niezrozumienie, w czym bierze udział. I jak wielu z uczestników tej misji nie potrafiło zachować choćby powagi.

Co zrobił - zastanawiałem się - z wieloma Polakami czas? I czy to rzeczywiście wyłącznie skutek upływu czasu, tego, że od owych zdarzeń upłynęło już kilkadziesiąt lat? Chcąc nie chcąc, obserwując wesołe i bez troskie zachowanie pojawiały się i dalsze pytania: Jak zachowali się ci pierwsi Polacy, którzy w 1943 znaleźli się przy ekshumacji w lesie katyńskim? Jakie miary godności do siebie stosowali? Tak, inne czasy, inne okoliczności. Oni ten dramat na pewno przeżywali inaczej. Zastanawiali się, czy i kiedy historia umożliwi wyjawienie całej prawdy o zbrodni. My byliśmy w odmiennej sytuacji. Większość z nas urodziła się już po wojnie. I oto teraz historia dała nam szansę uczestniczenia w dopowiadaniu tragicznej prawdy do końca, wskazywaniu winnych. Po półwiecznych kłamstwach. Po długiej, koniunkturalnej i odrażającej zмовie milczenia Sprzymierzonych.

Wśród polskich ekspertów znaleźli się też archeolodzy. Nie czułem się jednak w ich towarzystwie jak uczestnik wyprawy archeologicznej. Ten rozdział historii nie jest jeszcze zamknięty. Ci, którzy tego nie rozumieli, nie powinni jechać. Nie powinien, moim zdaniem, jechać dziennikarz, który zachowywał się wprawdzie przyzwoicie, ale wciąż powtarzał, że to „temat jak temat” i z upodobaniem „kolekcjonując” ponure aneg-

doty zacierał ręce. Nie powinni znaleźć się i inni, którzy przyjechali z polską grupą lub pojawiali się na dłużej lub krócej. Byli bowiem i tacy, którym można było zarzucić coś więcej niż brak powagi. Przez nich pojawił się cień nad działalnością polskiej misji, od którego nie sposób się, niestety, uwolnić. Określenie zachowań niektórych uczestników jako niegodne, to wynik daleko idącej powściągliwości. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć: postęпки te stanowiły margines. Ale się zdarzyły. Próby ich przemilczania są błędem. Za żadną też cenę nie wolno uchylać się od ocen. Wierzę, że ktoś do tego powołany obowiązek taki jeszcze spełni. Bo przecież nikt nie może być tak naiwny, by sądzić, że te niechlubne incydenty nie zostały odnotowane i dobrze udokumentowane. Kto wie, na jaką chwilę pozostawione do wykorzystania. Dlatego, choć z pewnymi oporami, ale powiem, że oto na rosyjskich oczach delegowany przez agencję informacyjną polski dziennikarz nie trzeźwiał i bawił się przez kilka tygodni do czasu, gdy w amoku alkoholowym wyskoczył przez okno z drugiego piętra motelu i tylko cudownemu zrządzeniu losu zawdzięcza, że żyje i to bez kalectwa. Nie widzę też powodu do skrywania, że moskiewski korespondent polskiego dziennika uchodzącego za jeden z najwyższych nakładowych, czas pogrzebu ekshumowanych w Charkowie szczątków spędził w hotelu z kobietą lekkich obyczajów. Jakby tego było mało, ktoś, kto później przyjechał do Tweru organizować uroczystości pogrzebowe, już z nowej, naszej ekipy rządzącej, wziął udział w przeddzień pogrzebu w wesołej zabawie tanecznej. Wiem, co teraz wielu powie. Przykład idzie z góry. Przecież ktoś inny, znacznie wyżej postawiony od tego pana z ministerstwa tańczył ze swym rzecznikiem prasowym w przeddzień mszy w Katyniu. Cóż, jeśli tamten wypadek starannie zbagatelizowano i nie sta-

nowił on dla nikogo właściwej lekcji... Bolesne to przypomnienie.

Muszę powiedzieć, że wielu rzeczy nie potrafię zrozumieć do dzisiaj. Na przykład, jak ktoś skądinąd zasłużony i bardzo znany, który był wszystkiego kilka dni na miejscach ekshumacji i siedział z założonymi rękami, przypisuje sobie rolę animatora działań polskiej misji i inne jeszcze różne zasługi, publikując cykl reportaży w „Przeglądzie Tygodniowym” a następnie przedrukowując je w zagranicznym, polskojęzycznym czasopiśmie. Ów doktor historii współczesnej, jak o sobie mówi, nie miał pojęcia, czym w rzeczywistości były prace ekshumacyjne, w jakich warunkach i w jak ciężkiej atmosferze je wykonywano. Jakimi to cechami trzeba się odznaczać, zastanawiam się, by choćby nie zadać sobie trudu zebrania informacji o sześciotygodniowych zmaganiach garstki rodaków a opisywać, za przeproszeniem, banialuki o rozmowach z dyrektorem „Energopolu”, perypetie z krzyżami i podobne marginalne wydarzenia.

To wręcz niepojęte dla czego, z jakiego powodu zabrakło wśród nas poważnego człowieka pióra o znacznej pozycji? Czemu nie znalazł się tam choć jeden z tych publicystów, którzy pretendują w Polsce do najwyższych laurów. Założenie, że dla tych ludzi sprawa nie zasługiwała na największe zainteresowanie wydaje się czymś zupełnie niedorzecznym. A zatem co? Czyżby ci, uchodzący za wybitnych, zakładali, że ta misja skazana jest na niepowodzenie? To prawda, wiele na to wskazywało, a pierwsze dni jakby potwierdzały, że możemy wrócić, jeśli już nie z niczym, to z namiastką ustaleń.

24 lipca o 19-tej, w kilka godzin po przyjeździe do Charkowa, pierwsze spotkanie w Piatichatkach w VI kwartale strefy Leśnego Parku (lesoparku) - pasu zieleni otaczającej wielkie miasto. To około 20 minut jazdy samochodem od

centrum Charkowa, przy Biełgorodskiej szosie. Atmosfera napięta. Rosjanie czują się dość niepewnie. Inicjatywę usiłuje przejąć pułkownik Jurij Iwanowicz Szumiejko, przedstawiciel Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. Stoimy przed metalowym ogrodzeniem. Pułkownik mówi, że to jest miejsce, gdzie chowano represjonowanych polskich i rosyjskich żołnierzy. Powtarza kilkakrotnie: polskich i rosyjskich, rosyjskich i polskich. Tu powinny znajdować się również groby polskich oficerów - kończy. Wskazuje na pomnik. Ktoś inny mówi, że jego wystawienie to osobista zasługa towarzysza Murzina, szefa wydziału śledczego miejscowego KGB. Prace miały trwać podobno trzy dni. Podchodzi towarzysz Murzin. Czwadziestoletni, silny, ubrany po cywilnemu. Zadowolony z siebie mężczyzna. Te trzy dni, to oczywiście przesada - wyjaśnia. Roboty rozpoczęto już w kwietniu. To on później powie: „wiecie, przepuściliśmy tę sprawę przez rozum i serce... Chcemy, żeby nie ciążyło na nas to odium.” Pomnik z czarnego marmuru i wizerunek Chrystusa. Napisy po rosyjsku, ukraińsku i po polsku. Na pionowej płycie wyryty wiersz Adama Asnyka:

„Szkoda kwiatów, które wędną w ustroni,  
I nikt nie zna ich barw świeżych i woni,  
Szkoda pereł, które leżą w mórzu toni,  
Szkoda uczuć, które miłość roztrwoni,  
Szkoda piosenek, których nie ma kto słuchać,  
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie do starcia  
I serc szkoda, gdy nie ma oparcia”

Skąd pomysł tego akurat wiersza? Ktoś stojący obok tłumaczy, że żona towarzysza Murzina kiedyś uczyła się polskiego. Teraz znalazła gdzieś wiersze Asnyka i ten jej szczególnie przypadł do gustu.

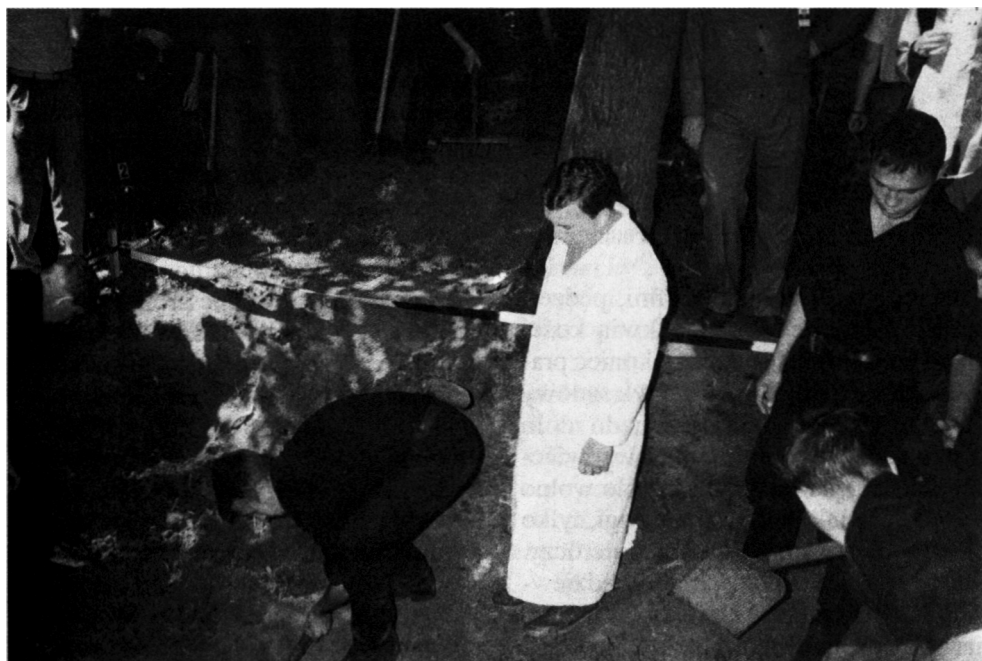
Spotkanie trwa krótko. Nie wchodzi my tego dnia poza ogrodzenie. Dopiero nazajutrz rano przekraczamy prowizoryczną metalową bramę. Tłum dziennikarzy. Zamieszanie. Widzimy dwa duże

wojskowe namioty, w jednym zainstalowane trzy telefony. Jesteśmy w liściastym lesie. Drzewa około 50-letnie i młodsze. Jesiony, dęby, buki, leszczyna. Dużo krzaków, chwastów. Wysokie poszycie. Grunt ciężki, podmokły. Widać dopiero co wytyczone alejki. Oficerowie radzieccy powtarzają: „Widzicie, tu nie było żadnych prac.. Teren nie naruszony. Żadnych tajemnic. Będziecie mogli wchodzić.” Gdzieniedzie dostrzegam wbite świeże paliki. Po pół godzinie wypraszają nas. Względy bezpieczeństwa, mogą być miny, bomby, no a poza tym wszystkim jest to śledztwo, dziennikarze będą więc tylko przeszkadzać. Oburzamy się. Nie po to przyjechaliliśmy, aby o pracach ekshumacyjnych dowiadywać się na codziennych konferencjach prasowych - bo takie rozwiązanie próbują narzucić Rosjanie. Jestem wściekły, że nikt z kierownictwa polskiej ekipy nie przeciwstawia się temu. Rozmawiam z prokuratorem Śnieżko. Stara

się uspokoić i mnie i innych. Wyjednuje możliwość wchodzenia przez nas na teren prac na okres od pół godziny do godziny każdego dnia. Szef polskich ekspertów, profesor Młodziejowski, też mówi do mnie, abym się nie niepokoił, trzeba przeczekać pierwsze dwa, trzy dni.

Cóż robić. Wychodzimy, mijając stojących w karnych szeregach młodych żołnierzy radzieckich gotowych do pracy; większość to Azjaci. O metalowe ogrodzenie oparte łopaty i drewniane nosiłki przygotowane na szczątki zwłok. Te nosiłki w owym momencie robią największe wrażenie.

O 13<sup>30</sup> jesteśmy ponownie. Dół 3 na 5 metrów o głębokości 30 cm. Krążą saperzy w poszukiwaniu min. Chodzi po lesie również trzydziestokilkuletni mężczyzna w stalowym garniturze o pospolitej twarzy. Z różdżką. Podnoszę aparat fotograficzny, ale wówczas on chowa przyrząd. Gdy mnie mija, czuję alkoholowy oddech. Podobny oddech jest cha-



Początek prac – na pierwszym planie prof. B. Młodziejowski. Fot. autora

rakterystyczny dla wielu innych i to przez cały czas. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć. Nie wszyscy pili. Do licznego grona niepijących należał pułkownik Aleksander Trietiecki prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej ZSRR prowadzący śledztwo w sprawie wymordowania Polaków.

Tego samego dnia, 25 lipca, po raz trzeci jestem na miejscu o 18-tej. Teren zmienił się w sposób znaczący. Kilka dużych dołów i pierwsze „znaleziska”: dwie garści guzików od polskich żołnierskich mundurów. A także kości biodrowe dwóch osób, dwie żuchwy. Podchodzę do jednego z wykopów. Na głębokości około 45 cm częściowo tylko odgrzebany but oficerski podszewą do góry.



Pierwsza polska mogiła. Fot. autor

Eksperci pracują szpachelkami, pędzelkami. Widać, że w bucie tkwią kości podudzia. Zbliża się wieczór, koniec pracy. Doktor Erazm Baran, medyk sądowy z Krakowa, schodzi jeszcze do dołu z miarką. Jeden z prokuratorów sowieckich krzyczy na niego, że już nie wolno nic robić. Polak nie zwraca uwagi, tylko mierzy odległości. Rosjanin, małe oczy, wąskie usta, cera blada i niemal dziewczęca, nadal krzyczy. Daje do zrozumienia, że on tu decyduje. Te pokrzykiwania, które się powtarzały jeszcze dwa, trzy dni i to zwłaszcza ze strony tego samego

gładkoliciego podpułkownika utkwily mi w pamięci jako widomy znak usiłowań podporządkowania sobie członków polskiej ekipy przez stronę sowiecką. Nie pierwszy, i nie ostatni. Brano się zresztą do tego na różne sposoby. Jednym z takich usiłowań były, zaraz po przekroczeniu granicy, zabiegi o narzucenie atmosfery „przyjaznej współpracy”, w trakcie której nie sposób zdecydowanie przeciwstawić się gospodarzom. Zaczął nachałnie generał - pogranicznik tuż po przekroczeniu granicy, kontynuowali potem inni. I tu Rosjanie mocno się zawiedli w swoich planach.

Ktoś kiedyś napisał, że „zaborcze oko Kremla jest zdolne tylko do rozróżnienia między poddanymi i wrogami, i nic poza tym”. I że szefowie Kremla nie rozróżniają odcieni i niuansów stosunków bilateralnych. „Albo jesteś im posłuszny i w takim wypadku jesteś ich poddanym, albo odmawiasz posłuszeństwa i w takim wypadku jesteś ich wrogiem”. Czyżby te słowa - zastanawiam się - rzeczywiście zachowały do dziś aktualność?

Trzy pierwsze dni, to żmudne odgrzebywanie wilgotnej brązowej ziemi. Warstwa po warstwie, dosłownie centymetr po centymetrze. Co rusz trafia się bryła jakiejś białej substancji chemicznej. Bardzo powoli wyłaniają się kości. Również kości czaszek. Leżą przytulone do siebie pierwsze trzy. Przez bujne liściaste drzewa docierają tutaj skąpe promienie słońca. Kładą się w dole złotymi plamami. Kości nie są spopielałe, jak to sobie wyobrażałem. Mają kolor szary i sinobrazowy.

Polscy eksperci twierdzą stanowczo, że dostrzegają ślady penetracji mogił. Na przykład guziki znaleziono w warstwie darniowej. Ot, wystarczyło przesunąć mocniej nogą, by odgrzebać guzik z orzełkiem. Rosjanie nie przyjmują do wiadomości tych faktów. Pierwszy dół okazał się „grobem radzieckim”. Prócz całych szkieletów odnajdywano buty

o gumowych podszewkach, których nie używano w wojsku polskim. Również złote mostki w szczękach są charakterystyczne dla rosyjskiej techniki dentystycznej. Ale drugi wykop oznaczony numerem 5 kryje bez wątpienia polskie szczątki przemieszane z polskimi mobiliami. Na początku są to przede wszystkim guziki od wojskowych mundurów, menażka z napisem „Made in Poland”, kubek okrągły z napisem „Poraj”, trafił się też naramiennik z trzema gwiazdkami i powtórnice pogrzebane.

Prof. Bronisław Młodziejowski, antropolog i osteolog, a także medycy sądowi: docent Roman Madro i doktor Erazm Baran (który z benedyktyńską cierpliwością i dokładnością nanosi na szkic wszystkie odkrywane kości i mierzy każdą odległość) stanowczo twierdzą, że to jest wtórny grób. Że szczątki te przeniesione zostały z innego miejsca i powtórnice pogrzebane.

Jestem świadkiem, jak prokuratorzy radzieccy napierają: trafiliśmy na ślady masowych grobów, są polonika. Nie ma już żadnych wątpliwości, wszystko jest jasne. I pojawia się sugestia, że w związku z tym dotychczasowe prace ekshumacyjne należałoby uznać za wystarczające. To pada z ust zastępcy prokuratora generalnego ZSRR, Frołowa. Rosjanie usiłują przekonać polskich biegłych, że się mylą, nie może być mowy o żadnym przenoszeniu szczątków, wcześniej pochowanych w innym miejscu. Atakowany jest w tym czasie zwłaszcza doktor Baran, którego drobiazgowość i niepokorność wyraźnie niektórych drażni i niepokoi. Kolejny raz słyszę, jak podpułkownik sowiecki krzyczy na niego, by nie wchodził do wykopu, gdy ten po przerwaniu prac przed obiadem chce zrobić zdjęcie. Doktor Baran ignoruje bezczelne zachowanie wyższego radzieckiego oficera. Robi dalej to, co zamierzał. Inni Polacy postępują podobnie. Pracują, jeśli tak można powiedzieć, me-

todycznie. Rosyjskie grymasy niechęci nie robią na nich wrażenia.

Tak się zaczęło. Nieustępliwość, spokój, konsekwencja po stronie polskiej. Samodzielność, rzeczowe argumenty, udawadnianie, że zwłoki nie są ułożone w porządku anatomicznym. To nie jest pierwotny grób, powtarzają i robią swoje. Prokurator Stefan Śnieżko w ogóle nie chce słuchać o zakończeniu ekshumacji. Chociaż, jak mi się wydaje, obawia się jednostronnej decyzji. Generał Frołow 26 lipca miał wyjechać na urlop, pożegnał się już, ale mimo to następnego dnia znów pojawia się. Otrzymał czyjeś polecenie? Czyje? Generał nakazuje ryć ziemię, tak na chybił trafił, przy pomocy transzei, urządzenia do kopania rowów wojskowych. W trzech różnych miejscach trafiono w ten sposób na groby. Jeden na pewno jest polski, gdyż wykopano polską manierkę wojskową, drugi - nie wiadomo, trzeci - rosyjski.

*Niedziela - 28 lipca. Wyjazd do Starobielska zaplanowany na 8<sup>30</sup>. Spóźnia się kierowca. Ma od początku kłopoty z dyscypliną. Latwo domyślić się na jakim tle (...) Nie mogą zrozumieć, jak można było delegować człowieka z takimi skłonnościami. Autobus jest stary, już się psuł. Oczekując na autobus kilku dziennikarzy biega do hotelowego bufetu. Wchodzą do autobusu w dobrych humorach. Wrzaski i śmiechy z tyłu dochodzą jednak krótko. Usypiają. Kto? Kto ich tutaj wysłał - to pytanie wciąż wraca.*

*... mówi, że do Rosjan już doszło, iż niektórzy Polacy się upijają, sprowadzają do hotelu kobiety. ... twierdzi, że wszystko zapisuje. Wszystko! Także godzinę i pogodę (...) Od jego współlokatora wiem, że śpi tylko po 3, 4 godziny na dobę. Píše nocami i nad ranem (...)*

*W autobusie słyszę rozmowę członków naszej ekipy. Nie najlepiej układają się stosunki ze stroną radziecką. Potwierdzają się moje przypuszczenia, że istnieje poważna kontrowersja co do zakresu*



*ekshumacji. Polacy naciskają, że muszą trafić na masowe groby liczebnością zwłok odpowiadające liczebności transportów. Prokurator Śnieżko proponuje przyspieszyć prace. A ze sporządzonych protokołów wyciągnąć odrębne wnioski. „Oni swoje, my swoje” - mówi.*

W Starobielsku, to niewielkie, zaniebane miasto, jesteśmy przed 15-tą. Po szybkim obiedzie podjeżdżamy pod dawny klasztor, gdzie więziono polskich oficerów. Teraz to teren jednostki wojskowej. Żelazna dwuskrzydłowa brama, pomalowana na zielono. na każdym skrzydle złota gwiazda. Przed bramą piękne kasztanowce.

Jadący z nami rzecznik prasowy charkowskiego KGB Andriej Aleksandrowicz Sajko (młody, przysadzisty mężczyzna w dżinsach i adidasach) idzie za bramę wraz z oczekującym nas „przewodnikiem”. Po chwili wracają. Dowódca jednostki wojsk zaopatrzeniowych nie ma, będzie później. Najpierw zatem jedziemy na cmentarz, na którym pochowano polskich oficerów, którzy nie przeżyli strasznych warunków uwięzienia. (Zaglądam do swojego dziennika i znów znajduję zapiski o wesołości niektórych. Żeby nie było niejasności. Nie weszli się członkowie ekipy. To część towarzyszącej grupy).

Wchodzimy na cmentarz między garażami, komórkami, małymi śmietnikami. Cmentarz na dalekim przedmieściu skrajnie zaniedbany, ponoć nieczynny od około 20 lat. Dostrzegam nagrobek z najpóźniejszą datą śmierci - 1967 r. Stajemy na osłonecznionej polance zarośniętej chwastami. Z trudem można dopatrzeć się zarysów mogił. Widać metalowe spłaszczone rurki wbite w ziemię, wystające na ćwierć metra. Są mocno zardzewiałe. „Przewodnik” wyjaśnia, że tak wówczas zaznaczano polskie groby. W miejscu, gdzie znajduje się jedna taka rurka, zgarnięto liście, drobne śmieci.

W pewnej chwili przychodzi na cmentarz wielki mężczyzna w koszuli rozpiętej na brzuchu, w czarnym zniszczonym kapeluszu. Ogorzała twarz pokrywa kilkunniowy zarost. Przygląda się zaciekawiony. Podchodzę i pytam, czy wie, że tutaj są pochowani Polacy. Odpowiada chętnie, acz bełkotliwie, jest trochę pijany. Mówi, że dobrze wie, pokazuje polankę i te metalowe spłaszczone rurki. A potem już od siebie dodaje, że chyba dwadzieścia lat temu przyjechała skądś starsza kobieta. Polka. Dobra z niej była kobieta. Nazywała się - trudno go zrozumieć - Alesia... Olesia Janowna Rot. Przez dziesięć lat porządkowała polskie groby. „Mogiły Poliaczkow” - mówi. Jak ją pytali, dlaczego się tym zajmuje, to odpowiadała, że tu leżą „jejo ziemliaki, im nado poktonitsja”. Alesia, Olesia zmarła... - mężczyzna zastanawia się - chyba 8 lat temu. I od tej pory nikt się już tymi grobami nie interesuje. Syn tej kobiety żyje, mieszka w Starobielsku. Nasz rozmówca jakimiś niezrozumiałymi topograficznymi skrótami określa adres. Niestety, robi się późno, Andriej Sajko chce nam jeszcze pokazać, w odpowiedzi na nasze nalegania, miejsce gdzie według ich - KGB - ustaleń przetrzymywano 8 generałów. Wiadomo bowiem, że nie przebywali razem z innymi oficerami. Jedziemy na ulicę Kirowa, pod jakąś rozpadającą się bazę transportową. Ludzie, również starsi wiekiem, którzy się tam kręcą, o niczym nie słyszeli. Wówczas redaktor Jerzy Morawski z Tygodnika „Spotkania” zapukał do domu po przeciwnej stronie ulicy. I sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna powiedział, że wmawiają nam nieprawdę. Polskich generałów uwięziono w siedzibie miejscowego NKWD a obecnie KGB, na rogu ulic Lenina i Komunardów. Dobrze pamięta, że do nich właśnie przeniesiono z cerkwi, gdzie przetrzymywano innych polskich żołnierzy, 15-letniego Polaka - wówczas jego rówieśnika. Co

się stało z tym chłopcem, co z pozostałymi? Dotychczas nie wiedział. A gdy teraz usłyszał, zacisnął szczęki, zamilkł i odszedł.

Wpuszczono nas wreszcie na teren jednostki wojskowej. Piękna kiedyś cerkiew - więzienie polskich oficerów, zamknięta. Na jej dachu rosną niemałe już drzewa. Sypią się mury.

Nie, nie możemy wejść do środka. „Tam nie ma nic ciekawego, a w ogóle panuje bałagan”. Nic, żadne domagania się, nie są w stanie zmienić decyzji rumianego na twarzy do dowódcy jednostki. Widać ma dobrze zakazane, aby nas tam nie wpuścić.

Ojcowie członków ekipy: profesora Nadolskiego - archeologa i prokuratora Komarskiego byli tu właśnie uwięzieni i potem zamordowani w Charkowie. ten sam los podzielił stryj profesora Młodziejowskiego.

Po krótkim pobycie przy dawnych zabudowaniach klasztornych pojechaliśmy

jeszcze na stację kolejową, skąd odprawiano transporty śmierci. Patrzymy na tory biegnące w kierunku Charkowa. Proste ginące gdzieś w oddali tory. Jeden z tych, który stracił najbliższego, wybuchą głośnym płaczem.

Trzeciego dnia prac, 27 lipca, otrzymałem stałą przepustkę. To dopiero, a nie jednogodzinne „zwiedzanie”, daje pełne wyobrażenie o przebiegu ekshumacji. Mam, oczywiście, możliwość obserwowania tylko zewnętrznych przejawów tego wszystkiego, co się dzieje, domyślać się pewnej gry, jaka się bez wątpienia toczy.

Pierwszą oznakę zmiany stosunku Rosjan zauważam przed południem 29 lipca. Już nie usiłują wmawiać Polakom błędnych ocen stanu grobu nr 5. Jeszcze nie przyznają racji, ale mówią: „rzeczywiście są wątpliwości”. I otwarcie nie zaprzeczają, że szczątki mogły być przemieszone z terenu sanatorium KGB, zbu-



Cerkiew w Starobielsku - więzienie polskich oficerów. Foto autor

dowanego tuż za ogrodzeniem w połowie lat siedemdziesiątych.

To pierwsze poważne ustępstwo Rosjan. Już wkrótce całkowicie oddadzą pole. Z kierujących pracami ekshumacyjnymi przejdą *de facto* do roli pomagających obserwatorów. Znacząca to będzie zmiana. Pamiętajmy, że ekshumacja stanowiła czynność procesową w ramach śledztwa prowadzonego przez Naczelną Prokuraturę Wojskową ZSRR. Polacy zostali do tej czynności tylko dopuszczeni. Należy przypuszczać, że w zamiarach tamtej strony było, aby nas sprowadzić do roli obserwatorów. Myślę, że Rosjanie na początku nie docenili profesjonalnego przygotowania członków polskiej ekipy. Złe też chyba poczynili założenia, nie wkalkulowali determinacji Polaków, niezgody na załatwienie sprawy najmniejszym trudem i kosztem. Jestem przekonany, że do ludzi w sowieckich mundurach dopiero po kilku dniach w pełni dotarło to, że mają do czynienia z delegacją wolnego, a nie podporządkowanego sobie kraju. I że jakiegokolwiek okazywanie wyższości w formie mniej lub bardziej kulturalnej oraz inne zabiegi na nic tu się nie zdadzą.

W prowadzonym dzienniku pod datą 30 lipca 1991 r. zanotowałem:

*Trzeci dzień od rana jestem na miejscu ekshumacji. Rozpoczyna plk Trietiecki formułką: „Wnimanje wsjem: 30 lipca 1991 r. za 7 minut 10-ta, kontynuujemy ekshumację...” Dwie kamery video obsługiwane przez Rosjan rejestrują przebieg prac. Z naszej strony szczegółową dokumentację fotograficzną wykonuje Aleksander Załęski z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji. Jest jeszcze cały czas trzysobowa ekipa z Wytwórnii Filmów Dokumentalnych. Kręcą film czarno-biały. Wchodząc dziś na zagrodzony teren, zaraz po wyjściu z namiotu, gdzie zakładamy wysokie kalosze, widzę głęboki na ok. 2 metry dół o wymiarach 1,5 x 1,5 metra. Idący bli-*

*sko mnie Młodziejowski nie może pohamować oburzenia. Kto tu kazał kopać? - pyta żołnierzy. Oni już trochę rozumieją po polsku. Odpowiadają, że przełożony. Profesor M. klnie pod nosem. „Szkoła ich wysiłku - mówi - tu nic nie znajdują.” Rzeczywiście, widać, że z tej „studni” nic nie wydobyto. Zaraz po rozpoczęciu prac, po tej rytualnej formułce, Młodziejowski zwraca się do pułkownika rietieckiego tonem bardzo stanowczym, żeby wydał polecenie zaprzestania kopania tamtego dołu. Żołnierzy należy skierować na inne stanowisko, gdzie potrzeba więcej ludzi. Trietiecki nie próbuje nawet dyskutować, bez jednego słowa sprzeciwu wydaje polecenie jakiemuś podoficerowi. Jeszcze wczoraj taka sytuacja, moim zdaniem, była niemożliwa.*

„Inne stanowisko” to wykop numer 22. Profesor Młodziejowski chodził dzień wcześniej po zagrodzonym terenie, przyglądał się poszyciu, zagłębieniom i drzewom. W pewnym momencie wskazał miejsce: tu kopać. Już tego samego dnia ujawniono tam szkielety 10 ludzi. Nie było żadnych wątpliwości, że to tzw. grób pierwotny, wcześniej nie ruszany. Wskazywał na to układ kości, w pewnym porządku anatomicznym. To polska mogiła. Rano wydobyto zegarek prostokątny o wymiarach 26x32 mm. Na kopercie doskonale zachowany napis: „za wytrwałość i dyplom matka 28.V.34r.” Potem odkopano odznakę Solidarności Mariańskiej, fragment kurtki skórzanej, najprawdopodobniej lotnika, polską manierkę wojskową. Wszystko to w gliniasto, czarno-brązowej, mazistej i zbrylonej ziemi. Młodziejowski twierdzi, iż to wynik działania ługu niszczącego części organiczne gleby.

31 lipca. Piękny, słoneczny dzień. Siadam przy stole obok stanowiska nr 22. Słyszę jak Młodziejowski mówi z dołu: „Jest następna czaszka. Będzie ich więcej. To wieloosobowy grób.” Zaglądam. Czaszka przy czaszce. Tuż obok but i ko-

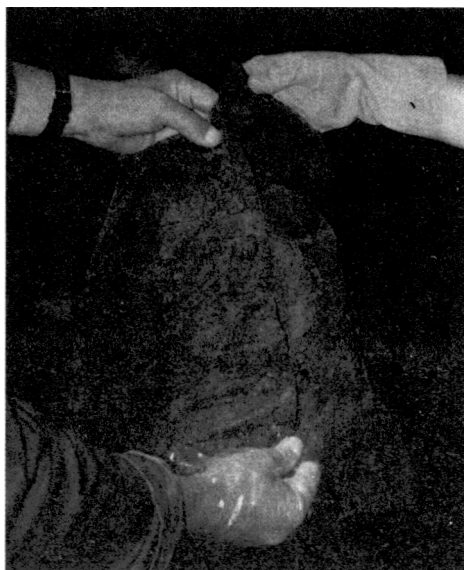
ści szkieletu ułożone w przeciwnym kierunku, zgodnie z układem kostnym. W wykopie trzech żołnierzy wybiera ostrożnie ziemię łopatami. Młodziejewski na kolanach raz małą szpachelką, raz pędzelkiem odstawia kości. Przy szkieletach w równych rzędach pośniedziałe guziki z orzelkami. Jest i pas wojskowy przy obręczy biodrowej. Dzięki zastosowanej przez prof. Młodziejewskiego metodzie „katafalku” już dobrze widać układ szkieletów pozostałych z ciał byle jak zrzuconych do dołu. (...)

Obok mnie siedzi pułkownik Stefan Rodziewicz - prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej ZSRR zatrudniony tu jako tłumacz. Prosi, abym mu wyjaśnił znaczenie słów „curriculum vitae”, a po chwili rozszyfrowanie skrótu O.II. Tłumaczy na język rosyjski dokumenty z Instytutu im. gen W. Sikorskiego w Londynie. Teraz ma przed sobą obszerną relację jeńca, który przeżył Starobielsk. Przy okazji rozmawiamy. Urodził się w 1943 r. w Lidzie. Ojciec - polski żołnierz - zginął przed jego urodzeniem, matkę stracił w 1948 r. podczas prześladowań Polaków na Wileńszczyźnie. Wychowała go młodsza siostra matki. O swoich przodkach wie tylko, że pradziadek Krzywda-Zgorzelski był uczonym astronomem i zdaje się został zesłany na Syberię za sprzyjanie rewolucyjnym ruchom studenckim. „Ot, tak - mówi - Jakie to figle płata historia? Któżby mógł przypuszczać, że syn polskiego żołnierza, sowiecki prokurator, będzie nad polskimi mogiłami tłumaczył na język rosyjski dokumenty dotyczące tej zbrodni” (...)

Zaglądam w głąb wykopu, miejscami sięgającego półtora metra, gdzie indziej dwa metry. Widzę jak spod pędzla w rękach profesora Młodziejewskiego wylania się grzebień, a potem lusterko. Jeszcze kilka ruchów... na lusterku widać zdjęcie młodego Jana Kiepury w cylindrze, z zarzuconym swobodnie szalem.

Za chwilę profesor pokazuje mi szkielet człowieka leżącego na brzuchu. (...)

Przechodzę później do stanowiska nr 5. W kolejnej warstwie (ziemia jest tu bardziej sucha) odkryto następne kości. Liczę czaszki. Jest ich siedem, trzy odwrócone szczękami do góry; widać równe rzędy białych zdrowych zębów. Słyszę, że przed chwilą odkopano tu odznakę 59 Pułku Piechoty Wielkopolskiej, stacjonującej w Inowrocławiu. I zaraz potem, na moich oczach, ktoś wyjmuje z ziemi dobrze zachowany pas wojskowy z koalicijką, kawałek materiału od munduru z kieszenią i guzikiem. Na materiale odciśnięte miejsce po odznace. Patrzę, jak ziemia odkrywa nowe przedmioty. Szczotka, pędzel do golenia, okulary, skrawek ołówka, resztki jakiejś książki, której kartek tu, w warunkach polowych, nie da się oddzielić. Coraz też więcej resztek polskiej odzieży wojskowej, stosunkowo dobrze przetrwały epelety. Z każdą chwilą przybywa oficerskich butów, klamer, sprzączek oraz odznak pułkowych. Jest Krzyż Walecznych za wojnę 1920 roku.



Fragment odkopanego munduru oficerskiego..  
Fot. autor

Tego dnia po raz pierwszy przerwa około godziny dwunastej na posiłek przygotowany przez sowiecką organizację Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężycza. Gorąca herbata, jagodzianki, chleb, ogórki, kielbasa. Krótka, ale potrzebna chwila wytchnienia dla ciężko pracujących. (Przedstawiciele tej organizacji pojawiać się będą codziennie do końca prac).

Po południu o 17<sup>15</sup> jestem świadkiem wyjęcia z ziemi portfela. Ekspert, Jarosław Rosiak, za pomocą lancetu ostrożnie podważa zbutwiałą skórę. Wylania się fragment zapisanej ołówkiem kartki; tylko dwa słowa dają się odczytać: „jestem niespokojna”. To pierwszy odkryty fragment bardzo osobistych słów. Stałem wtedy wraz z innymi pochylony nad bieglą. Po chwili podnieśliśmy głowy. Ciężkie milczenie. Czy są takie słowa, które mogą oddać wzruszenie z tamtej chwili? Gdy wieczorem nadaję pierwszą korespondencję dla sekcji polskiej radia BBC, zaczynam od zacytowania tych odczytanych słów kierowanych do zdrańdziecko zamordowanego. I głos mi się załamał.

W tym portfelu tkwiła jeszcze jedna rozpadająca się kartka - pokwitowanie nadania telegramu ze Starobielska z 20 lutego z godz. 20<sup>52</sup> na nazwisko Czesława Solki syna Stanisława.

Każda minuta przynosi nowe odkrycie. Odznaki Szkoły Oficerskiej Saperów rezerwy i Wojskowego Instytutu Geograficznego, różaniec, okulary. Dużo tych przedmiotów znajduje się w wykopie numer 5 wraz ze szczątkami zwłok. Ale tuż obok, w wykopie oznaczonym numerem 30, ziemia kryje tylko metalowe przedmioty pochodzenia polskiego. Nie ma żadnych wątpliwości. Przedmioty te wrzucono do dołu najprawdopodobniej po spaleniu resztek odzieży podczas przenoszenia szczątków zwłok z innego miejsca. O niszczeniu ogniem świadczą odkształcone przedmioty szklane.

Teren, na którym trwają prace ekshumacyjne, zaczyna przedstawiać wstrząsający obraz. Najpierw kilkanaście czaszek, ale już wkrótce jest ich kilkadziesiąt, a kolejnego dnia ponad sto. Rosną stosy kości, pojawiają się sterty nadgniłego obuwia i zrudziałej odzieży. Czy przyzwyczajamy się do tego widoku? Osuwajamy się z nim? Staralem się analizować własne odczucia. Pamiętam moment, gdy profesor Młodziejowski, stojąc w głębokim już wykopie nr 22, wyjął z ziemi kolejną czaszkę. Nie było akurat nikogo, kto by ją od niego odebrał i przeniósł do umycia. Zapytał, czy mogę mu pomóc i czy nie obawiam się wziąć do ręki tych kości. Nie miałem gumowych rękawiczek, ale nie zahałem się. Czy to była właśnie chwila, od której przestałem dostrzegać w czaszkach coś jakby naturalnie okrutnego? Że przestały one do mnie „szczerzyć zęby”, a wzbudzały całkiem inne uczucia, których nie zawaham się określić tkliwością. Dość szybko nauczyłem się rozróżniać czaszki ludzi bardzo młodych, dwudziestokilkuletnich od tych w średnim wieku i starszych. Wszystkich wymordowanych. Za to, że byli Polakami. Że byli odważni i inteligentni, a ich patriotyzm oceniano jako niebezpieczny.

Trudno mi teraz powiedzieć, czy radykalną zmianę w swoich odczuciach zawdzięczam temu pierwszemu bezpośrednio dotknięciu przestrelonej czaszki Polaka - otwór wlotowy w okolicy potylicznej, otwór wylotowy w okolicy czołowej. Później, wraz z innymi, składałem do prostych drewnianych trumien ekshumowane szczątki. I czułem się wtedy nie tylko wzruszony, ale i wybrany przez los do tego zaszczytnego obowiązku - złożenia polskich kości do godnego ich pogrzebania.

Jest 1 sierpnia. Całą noc padało. Dzień pochmurny, duszny. Przyjeżdżam rano. Przy namiotach witają nas jak zawsze oficerowie radzieccy. Serdecznie

jak zwykle. Tylko pułkownik ze Sztabu Generalnego Armii Czerwonej udaje, że mnie nie zauważa. To on pierwszego dnia ekshumacji podając mi rękę odpowiada na moje dzień dobry: „Samyj haroszyj dień”. Nie dostrzegł wówczas mego zaskoczenia. Teraz odwraca się. Nie mam żadnych złudzeń co do powodu tego zachowania. To moja wczorajsza korespondencja dla radia BBC. Ów pułkownik w drucianych złotych okularach, trzaskający w swoje tydki sztywnym drutem niczym szpicrutą, popisujący się wciąż poprawną angielszczyzną Rosjanka (na wiele pytań odpowiada: why not?), powtarzał wcześniej często przy różnych okazjach: „wiecie, trzeba być uczciwym jak nakazuje Ewangelia, a pryncypialnym, jak powiedziano w statucie partii.” No więc w pełni rozumiem, dlaczego dziś nie podaje mi ręki.

Spędzam coraz więcej czasu przy stanowisku numer 22. Oprócz stosunkowo dużej ilości czaszek bez obrażeń postrzałowych Młodziejowski wyjmuje czaszkę mężczyzny w wieku około 45 lat, o wydatnym, jak ocenia, nosie i wystającej brodzie. Profesor mówi, że dostrzega ślady czterech postrzałów: jednego w okolicę podżuchwową lewą z wylotem nieco powyżej kości jarzmowej, drugiego w prawą skroń oraz kolejnych dwóch (najprawdopodobniej strzelano już do leżącego) w otwór potyliczny wielki z wylotami na lewej kości ciemieniowej. Ale w tym miejscu intrygują jeszcze inne odkrycia. Wczoraj znaleziono dwie łuski od karabinu, dzisiaj dwa buty z przestrzelinami i kolejne łuski od pocisków karabinowych i broni krótkiej, i sporo samych pocisków. W jednym z butów ktoś odnajduje pocisk kalibru 7,62. O czym to świadczy? Próba interpretacji na gorąco. Może to jeden z ostatnich transportów ze Starobielska, którego zdecydowano nie zawozić do siedziby NKWD, tylko rozstrzelano na miejscu, gdzie wcześniej chowane były zwłoki

przewożone z tamtego miejsca kaźni? I być może w leśnym parku, nad wykopanym dołem doszło do jakiegoś oporu Polaków. W każdym razie tu rozegrał się na pewno jakiś dramat. Kaci strzelali na oślep do ludzi. Rzucających się na nich, czy też próbujących uciekać? - tego nie wiadomo. Czy kiedykolwiek uda się ustalić przebieg tego dramatu?

Co po pół wieku można odtworzyć? Żyje niewidomy starzec Soprunienko - szef Zarządu NKWD d/s Jeńców Wojennych i Osób Internowanych. Ale on jest bardzo oszczędny w swych zeznaniach złożonych w charakterze świadka. Nieco więcej od niego mówi Mitrofan Syromiatnikow, 83-letni ślepiec - były funkcjonariusz NKWD w Charkowie. Pamięta, że polskich oficerów przywożono pociągiem ze Starobielska, odległego od Charkowa o około 280 kilometrów, w transportach po kilkadziesiąt osób. Następnie umieszczano ich w celach charkowskiego NKWD. On - Syromiatnikow nocą doprowadzał przyszłe ofiary ze związanymi rękami z celi, pod pomieszczenie w piwnicy, w którym egzekucji miał dokonywać komendant miejscowego NKWD - Krupij. Następnie wraz z innymi Syromiatnikow wywoził zwłoki, które zakopywano na terenie przeznaczonym na wypoczynek enkawudzystów w Piatichatkach. Zrzucano je byle jak, prosto z samochodów, do każdego dołu po około 30 osób. Tenże Syromiatnikow twierdzi, że chociaż piwniczne pomieszczenie, w którym mordowano, było wygłuszone, dochodziły stamtąd odgłosy strzałów. Gdy przyprowadzał następnego Polaka, na swoją kolej czekało tam już dwóch lub trzech innych. I, jego zdaniem, ludzie ci wiedzieli, co ich czeka. „Jak się zachowywali?” - zapytał obecny podczas tego przesłuchania polski prokurator. „Byli spokojni” - odparł starzec. Syromiatnikow stanowczo przeczy, aby sam strzelał. Twierdzi, że pracował tylko przez 10 dni, potem zachorował na żółta-

czkę. Dlaczegoż zatem znajduje się na liście 143 nagrodzonych za sprawne zlikwidowanie Polaków? To właśnie pytanie postawił mu Jerzy Morawski, któremu - w tajemnicy przed wszystkimi udało się ustalić, że Syromiatnikow mieszka o 80 km od Charkowa w miasteczku Czugujew (?) przy ul. Róży Luxemburg. Syromiatnikow zaprzeczył, aby jakąś nagrodę otrzymał. A potem miał wybuchnąć: „Ja im jeszcze pokażę. Okradli mnie.”

Syromiatnikow mówił, że rozstrzelano w piwnicy. Co innego przekazuje szef charkowskiego KGB generał Mikołaj Gibadułow. Polskim ekspertom i prokuratorom pozwolił nawet wejść na teren swojej siedziby i tam pokazał na podwórku reszki fundamentów i wzorzystą posadzkę pozostałą po „wolno stojącym”, a już nie istniejącym budynku. Takie są ustalenia - przekonuje - tu właśnie strzelano, a Syromiatnikow z nie znanych powodów nie mówi prawdy. Ten budynek zwano, twierdził Gibadułow, „sarajem” lub „serajem”. Co to słowo oznacza? Szopę, stodołę - mówią jedni. Chlew - twierdzi ktoś inny.

2 sierpnia (...) Dziś przed południem (czterdziestostopniowy upał) po raz pierwszy wydobyto dające się odczytać znaczki identyfikacyjne. Widziałem jak profesor Bronisław Młodziejowski własnymi rękami podniósł z wykopu nr 22 czaszkę wraz z mostkiem, na którym, pod strzępami munduru, znajdował się tak zwany nieśmiertelnik (według innego określenia śmiertelnik). Jest to metalowa dwuczęściowa blaszka. Z łatwością odczytujemy „Stefan Kluska”. Z czaszki wypadł pocisk. Już wkrótce Jędrzej Tucholski ustala, że był to rzeczywiście uwięziony w Starobielsku porucznik rezerwy 28 pułku piechoty, technik włókiennictwa, zamieszkały w Rudzie Pabianickiej. Na liście sowieckiej figuruje pod numerem 1302.

12<sup>55</sup> - jest drugi znaczek identyfikacyjny z nazwiskiem Wilhelma Kazimierza Matuszka, urodz. 25.V.1910 r. Po krótkiej chwili ktoś wygrzebuje z ziemi Krzyż *Virtuti Militari* V klasy i ryngraf z *Matką Boską*. A potem złoty krzyżyk, figurkę słonia, mały posążek Buddy. Są odznaki 28 pułku Strzelców Kaniowskich, owalna odznaka „Huculskim Szlakiem II Brygady Legionów”, a także pióro wieczne „Parker” ze złotą stalówką, obrączka z wygrawerowaną datą 20.6.31 r. i złoty pierścionek z szafirem z inicjałami MM i datą 21.11.30.

Na głębokości 2 metrów i 35 cm w wykopie numer 5 głowa zawinięta w mundur. W kilku warstwach materiału otwory po pocisku. Docent Mądro i doktor Baran nie mają wątpliwości, że to miejsce, około 1,5 metra od powierzchni, jest już grobem pierwotnym. Na tej głębokości po pogrzebaniu zwłok nikt już nie kopał.

3 sierpnia. Sobota. Przy stanowisku 22 na stołach poukładane dziesiątki czaszek. Obok, na wielkiej płachcie, na odrębnych stosach kości biodrowe, udowe, podudzia, kości rąk, kręgosłupa, mniej kości żeber, które szybciej ulegają rozkładowi. Żołnierze, młodzi chłopcy Kazachowie, Uzbegy, Tadzycy, obmywają je wcześniej w wielkich misach. Straszny widok, nie do opisanja.

Nowy wykop nr 39 zalewa woda. Nie udają się próby odwodnienia. Tu znaleziono srebrny pamiątkowy pierścień. Na kamieniu wyryta odznaka 52 pułku piechoty, stacjonującego w Złoczowie. Wchodził w skład 12 Dywizji Strzelców Kresowych. Na wewnętrznym obwodzie wygrawerowana data 12.4.35 - 13.6.38. Zdzisław Sawicki - znawca orderów i wszelkich oznak wojskowych, i znany historyk Jędrzej Tucholski, zdumiewają swoją wiedzą. Bez trudu identyfikują każdy taki przedmiot.

Godzina 13<sup>00</sup>. Trzeci znaczek identyfikacyjny. Dość dobrze zachowany. Nie-

fachowo wygrawerowano „Karol Świątek kat. (katolik - przyp. mój- St.M.) 29.XI. 1911 porucz.” To adwokat z Bialegostoku, powołany z rezerwy do służby w 5 Pułku Strzelców Podhalańskich. Docent Mądro, doktor Baran, prokurator Mielecki pracują ciężko w wykopie nr 5. Rośnie ilość kości ludzkich. Coraz więcej przedmiotów. Polskie monety, szczotki do ubrań, butów, i do zębów, pędzle i maszyny do golenia, grzebienie, papierosnice, zapalniczki, szczyryki, kubki, tyżki i... klucze. Dowód nadziei na powrót do domu. Lusterko, na odwrocie reklama: „Ubiory dziecięce, panięskie i szkolne A. Szejn Warszawa Ś-to jerska 34”. Re sztki legitymacji nr 939 Towarzystwa „Kupiec Polski” ul. Dzielna. Daszek od czapki. Naramienniki porucznika i kapitana. Ułańskie ostrogi. Fragment furazerki z orzelkiem. Skórzany portfel koloru zielonego 9x14 cm z wytłoczonym napisem „Oleje i smary «Polmin»”. Miniaturka, bardzo uszkodzona odznaki pułkowej 28 Pułku Strzelców Kaniowskich.

Przechodzę nad wykop nr 22. Tu Młodziejowski. Znalazł coś oblepionego błotem. Zwykła grudka, kamień? Nie, to wąski obcas o wysokości 5 cm. Pokazuje mi. Siedzę i piszę przy stole, na którym równymi rzędami poukładane są czaszki. Po chwili Profesor wyjmuje z ziemi pozostałą część damskiego buta. Szkielet osoby, która najprawdopodobniej miała ten but na sobie, tkwi w ścianie wielkiego czarnego dołu. Ani w polskich, ani w radzieckich dokumentach nie odnotowano - to wiemy - faktu przebywania kobiety w Starobielsku lub transportowaniu jej z polskimi oficerami. Ale akurat dwa dni temu prokurator Śnieżko wziął udział w kolejnym przesłuchaniu strażnika NKWD Mitrofana Syromiatnikowa. I mówił nam, że ten enkawudzista zeznał, iż wraz z Polakami rozstrzelano młodą kobietę. „Chyba Polkę, bo trzymano ją z Polakami. Sam ją doprowadzałem.” I dodał jeszcze, że przed jej zastrzele-

niem wypadł z kieszeni płaszcz, który miała na sobie, złoty pierścionek. Oddał go do administracji. Prokurator Śnieżko mówi mi, że Syromiatnikow zeznał suchym beznamiętnym tonem człowieka opanowanego znieczulicą. „Takie miałem zadanie, ot i co” - powtarza - „i ciężkie życie. Jedyne go syna zabili mi w bójce w 1951 roku. Jego matka zwarowała, całe dni spędzała na cmentarzu. Lekarze poradzili, abym się wyniósł z Charkowa...”

Co jest prawdą, a co zmyśleniem i obroną Mitrofana Syromiatnikowa? Tego, który dziś chce żyć w spokoju i nie życzy sobie, aby ujawnić jego adres jakimkolwiek dziennikarzowi. Czy niespodziewanie odnaleziony dzisiaj damski but, to potwierdzenie słów o zamordowaniu kobiety? Jeśli w grobie tkwią w rzeczywistości szczątki kobiety, to może odnajdzie się coś, co pozwoli odpowiedzieć na pytanie, kim była. Robi się późno, czas kończyć pracę. Książd klaszcząc przywołuje głośno na mszę.

Teraz, po powrocie do kraju, gdy emocje opadły na tyle, by nabrać niezbędnego dystansu do tego wszystkiego, co przeżywałem, zastanawiałem się nad koniecznym wyborem. Jest bowiem wiele zdarzeń, o których chciałoby się nie pamiętać. Nie mówić i nie pisać. Czy jednak należy narzucać sobie ten rodzaj autocenzury? Czy wolno? Przecież ktoś z naszych powinien dać temu świadectwo, bez oglądania się na takie, czy inne, konsekwencje. Jeśli my tego nie zrobimy, wysoce prawdopodobne, że uczynią to za nas sami Rosjanie. Bo to nie jest wyłącznie sprawa polska. Ona jest także rosyjską sprawą. I jeżeli tamta strona zdobędzie się na poważne oceny, z pewnością te rzeczy nie umkną tam uwadze. Dlatego zdecydowałem się wspomnieć o niektórych incydentach. Z głębszych powodów niż wprowadzenie posmaku sensacji, o co, być może zostaną posądzony, należy opowiedzieć również o in-



nych faktach. Od początku nie wierzyłem w nagłe metamorfozy byłych do niedawna specjalistów od komunistycznej propagandy i aktywistów partyjnych, których nie zabrakło wśród osób towarzyszących misji. Spowiadali się gorliwie u księdza (który przyjechał do Charkowa 28 lipca) i ostentacyjnie przyjmowali komunię świętą. To, że o jakichkolwiek nawróceniach nie mogło być mowy, świadczyło ich błaznowanie na boku: „Styszałem, że przyjąłeś Ciało Pana, bracie...” Rechotu wiekowy już kapłan (uratował się z Kozielska przez Griazowiec) nie słyszał. W dobrej przeciwieście wierze usilnie nakłaniał do przyjęcia sakramentu. Zresztą... Przyjechał ze Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszka od kilkudziesięciu lat. Jest przesiąknięty innym stylem bycia, bardzo odmienną kulturą religijną. Obcą polskiej tradycji katolickiej, w której msza święta nie ma charakteru wspólnego *show*. Zwłaszcza na narodowym cmentarzu. Były więc i momenty podniosłe, i dość przykre, liczne rozczarowania, niestety.

5 sierpnia odnaleziono wśród kości znaczki identyfikacyjne Tadeusza Jerzego Ramzy, urodzonego 24.VII.1901 r. podporucznika taboru rezerwy, starszego asystenta Akademii Górniczej w Krakowie, byłego sekretarza generalnego Polskiego Związku Narciarskiego, a także Stanisława Maszewskiego, urodz. 6.IV.1904 r. porucznika służby zdrowia rezerwy 5 Dywizjonu Artylerii Konnej - magistra farmacji. Obaj są na listach uwiecznionych w Starobielsku. Coraz więcej mobilów. Odznaki Centrum Wyszakolenia Kawalerii, Szkoły Podchorążych Rezerwy. Medal za Wojnę Obronną 1919-1921, odznaka 57 pułku piechoty (garnizon Poznań), sprzączka od pasa galowego, naramiennik pułkownika, złoty zegarek.

W wykopie numer 22 odkopano najpierw niewielką czaszkę, a później inne kości, wśród nich kość biodrową. To

szczątki kobiety. Profesor Młodziejowski ocenił, że osoba ta na pewno nie przekroczyła 30 roku życia. Skrupulatne przeczesywanie ziemi niewiele przyniosło: kawałek damskiego paska, kilka guzików od bielizny. A zatem żadnych przedmiotów umożliwiających identyfikację. W kilka godzin później następną tragiczną zagadką. Damski but i szkielet drugiej kobiety. Nieco starszej, ale przed czterdziestką, jak ocenił ekspert. W jakich okolicznościach obie kobiety znalazły się razem z polskimi oficerami? Co zdecydowało, że podzieliły ich los? To pytanie pozostało bez odpowiedzi. Czy kiedykolwiek czegoś się o nich dowiemy?

5 i 6 sierpnia wykopano dalsze doły sondażowe. W pięciu znajdują się na pewno szczątki Polaków. Ale zbliża się termin zakończenia prac - 9 sierpnia. Zakreślony przez Rosjan jako nieprzekraczalny. Oni byli wyraźnie zaniepokojeni. Po co dalej kopać, po co te nowe doły? Był w tym bardzo określony cel i trzeba wyraźnie powiedzieć, to zasługa profesora Młodziejowskiego, doświadczonego eksperta, który miał za sobą niejedną ekshumację masowych grobów. Chodziło o zorientowanie się w granicach „cmentarza”. Sondaże pozwoliły określić, że od głównego wejścia w prawo nie ma grobów. Ciągną się natomiast po lewej stronie i na wprost w stronę sanatorium KGB. Niestety, Rosjanie, wśród nich Trietiecki, kategorycznie sprzeciwiają się wykonaniu jakichkolwiek wykopów na terenie poza ogrodzeniem, który chcą pozostawić jako nietykalny. Tam leżą się ludzie, nie można przeszkadzać - to się powtarza w uzasadnieniu twardego stanowiska.

6 sierpnia przedstawiciel centrali KGB z Moskwy, nieduży, korpulentny mężczyzna, ubrany po cywilnemu, robi awanturę pułkownikowi Trietieckiemu. Zarzuca mu, że sprzedał się Polakom, że ci szarogęszą się, jakby tu byli u siebie.

Nie jestem świadkiem tej sceny, ale opisuje mi ją kilka osób. Trietiecki jest ponoć wzburzony, bo tamten nie przebierał w słowach. Obrażał go i pułkownik zamierza zawiadomić swoich przełożonych.

Wśród Polaków natomiast spokój. Rozsądek nakazywał zaprzestania eksploracji nowych mogił. Wysiętek skupiono na wydobyciu wszystkich zwłok z wykopów nr 5 i 22.

7 sierpnia, po kilku dniach nieobecności, pojawia się generał Władysław Frolow. Jest to prosto trzymający się mężczyzna w letnim mundurze marynarki wojennej w kolorach białym i żółtym. Ma ziemistą, jak to ktoś określił, „kremłowską”, cerę. Wita się chłodno. Zarówno on, jak i pułkownik Nikołaj Anisimow z Naczelnej Prokuratury Wojskowej ZSRR mówią, że ekshumacja stała się okazją do wywołania w Polsce nastrojów antyradzieckich. To - ich zdaniem - wina nieodpowiedzialnych dziennikarzy polskich. Pytam obu, skąd mają te informacje? Jakie to publikacje są przyczyną ich niepokoju? Odpowiadają, że oni są już dobrze poinformowani. Na tym rozmowa się kończy. Za pół godziny spotykam znów generała spacerującego od wykopu do wykopu. Mówi, że coś mi pokaże. I pokazuje. Telegram z Warszawy skierowany do prokuratury sowieckiej podpisany „porucznik Colombo”. Zawiera bełkotliwe żądania rozprawienia się z komunistycznymi oprawcami. Treść na pierwszy rzut oka zdradza autora jako człowieka chorego psychicznie. Pytam czy telegram ten traktuje on poważnie i czy uważa go za głos polskiego społeczeństwa? „No, nie” - odpowiada, chowając skrętnie telegram. - „Ale, sami widzicie...” Około południa pojawia się starszy mężczyzna. Wzbudza nasze zainteresowanie. Mówi, że nazywa się Grigorij Tarasowicz Szewczenko. Jest od 20 lat leśnikiem. Zaczyna opowiadać. Trochę nieskładnie mu to idzie, bo jest

pod wpływem alkoholu. Mówi, że tutaj, gdzie stoimy, ziemia po ulewnych deszczach, zwłaszcza na wiosnę, wynosiła kości na powierzchnię. A podczas budowy sanatorium widział, że wykopywano ludzkie szkielety, ale tym się nikt specjalnie ani nie przejmował, ani nie interesował. Byli i tacy, co tu kopali. Szukali przede wszystkim złota. Złoty pieniędzy przede wszystkim. Bywało, że czaszkami dzieci bawiły się jak piłkami. A kiedyś to dla hecy pozatykały je na kijach wbitych w ziemię. Wielu ludzi zabierało stąd różne rzeczy. Ot, na przykład, tu niedaleko mieszka 82-letnia Maryja. „Ona wzięła od sjuda adnu czaszku.” Co? Czaszkę? - pytamy. - I co z nią zrobiła? „A no nic. Trzyma ją w domu” - odpowiada. - W domu? - dziwimy się. No i wreszcie prokurator Śnieżko, który też w pierwszej chwili słuchał zaskoczony, przypomina, że czaszka to po rosyjsku filiżanka.

Tego samego dnia pułkownik z genstaba (sztabu Generalnego) zauważa mnie. Chłodno, po raz pierwszy od wielu dni przywitał się ze mną. Czyżby zauważył, że rozmawiałem z Frolowem? Stąd ta zmiana? Po południu, gdy oczekuję wraz z Jerzym Morawskim na jakiś środek lokomocji, którym moglibyśmy dostać się do hotelu, zatrzymuje się przy nas wojskowy gazik. Niewiele brakowało, by wskutek gwałtownego hamowania nie doszło do kraksy na jezdni. To mój milczący dotąd pułkownik proponuje podwiezienie. W drodze rozmowa nie klei się. Kilka słów o pogodzie, bo panuje niemiłosierny skwar. Mówi, że zaplanowany urlop diabli wzięli. Miał jechać na Krym. I dodaje, że nie lubi Kaukazu. Przyjmujemy to, oczywiście, do wiadomości.

8 sierpnia przy szosie, kilkadziesiąt metrów przed wejściem za zagrodzony teren, pojawia się kolejny pomnik. Świecki. Trzy marmurowe skrzydła, na środkowym napis w języku polskim. Cytuję

dokładnie: „Tu spoczywają szczątki ty-  
siący bez winy poległych radzieckich  
i polskich obywateli rozstrzelanych  
w katowniach KNSW w latach 1938-  
1941. Pomnik wzniesiony decyzją Urzę-  
du Miejskiego Charkowa w sierpniu  
1990. Wzniesiony za środki Wydziału  
KBP obwodu Charkowskiego diecezji  
Charkowskiej organizacji społecznych  
i zakładów Charków.” Jakiś nie znany mi  
oficer radziecki podchodzi i mówi, że nie  
wolno tego przepisywać. Staje tuż za  
mną. Zdaje się, że ma mi ochotę wyrwać  
notes. Ale kręci się tu dużo ludzi. Nie  
wolno - powtarza więc groźnie, gdy nie  
reaguję. - „Ta tablica jest nieaktualna”.  
W nocy rzeczywiście została zdjęta.  
9 sierpnia rano pojawiła się nowa. Bez  
błędów językowych.

Strona polska zostaje zaproszona do  
siedziby KGB. To wielki, zadbane  
gmach - miejsce, gdzie 51 lat temu wy-  
mordowano polskich oficerów. Na fron-  
tonie płaskorzeźba Dzierżyńskiego. Pod  
nią kilkakrotnie widziałem świeże czer-  
wone goździki. W tym właśnie budynku,  
9 sierpnia, zostaje podpisany protokół.  
Zawiera również liczby. Z mogiły nr  
5 ekshumowano szczątki 87 osób,  
a z oznaczonej nr 22 - 74. Z trzech in-  
nych, sondażowych wykopów, szczątki  
6 osób. Na łącznie ekshumowanych 167  
osób w 63 wypadkach stwierdzono nie  
budzące wątpliwości dowody na zadanie  
śmierci przez strzał w głowę. Oprawcy  
celowali przede wszystkim w okolice  
potyliczną. Z dużą precyzją. Wielokrot-  
nie eksperci zauważali, że robiono to fa-  
chowymi rękami. Jeśli już nie zawodo-  
wych morderców, to ludzi dobrze przy-  
uczonych. Syromiatnikow chwalił się re-  
daktorowi Jerzemu Morawskiemu, że  
miał dobre oko, był świetnym strzelcem.  
Zajmował pierwsze miejsca w zawo-  
dach, zdobywał nagrody. „Nie, on jednak  
nie strzelał do ludzi” - zaprzeczył rów-  
nież w obecności dziennikarza.

Polacy zdecydowali, że ekshumowa-  
ne zwłoki zostaną pochowane w posze-  
rzonym wykopie nr 5. Wycięto kilka  
drzew, uporządkowano teren. Kilka me-  
trów dalej Rosjanie polecieli też kopać.  
Wyjaśniają, że pogrzebią tutaj szczątki  
kilkunastu swoich, których ekshumowa-  
no. Zastrzelonych identyczną metodą.  
Czaszki mają obrażenia w okolicy poty-  
licznej od wlotu pocisku i otwory wylo-  
towe w obrębie czoła. Kim byli, kiedy  
i w jakich okolicznościach ci ludzie zo-  
stali pomordowani, a potem wrzuceni do  
dołu? Oczywiście nie wiadomo i chyba  
dziś nikt już tego nie wyjaśni. Podczas  
kopania następane kości. Polacy sprawd-  
zają, czy nie są to szczątki Polaków.  
Nie. Robota dentystyczna nie nasza,  
z ziemi wydobyto też resztki rosyjskich  
kaloszy i wołoku. Kolejny dół pod  
krzyż. I znów czaszka za czaszką. Nie  
polskie. Młodzi żołnierze sowieccy wy-  
jmują je teraz z pewnym rozbawieniem.  
Bo gdzie włożyć szpadel, tam ludzkie  
kości. Oni już oswoili się ze strasznymi  
widokami i z tą pracą. Bez zmużenia  
oka zgłaszali się i piłowali czaszki, gdy  
zachodziła potrzeba dokonania oględzin  
od wewnątrz.

Od trzech dni ubywa szeregowych  
żołnierzy. 9 sierpnia nie ma już ani jed-  
nego. Co jakiś czas pojawia się tylko je-  
den lub dwóch oficerów. Gdy około jede-  
nastej przywieziono trumny, nie ma ni-  
kogo prócz nas. To dobrze - myślę - że  
nikt obcy nie będzie nam pomagał. Że na  
moment zostajemy sami wśród szcząt-  
ków pomordowanych. I że te szczątki  
zostaną złożone na wieczny spoczynek  
polskimi wyłącznie rękoma. Pracujemy  
wszyscy. Ekipa ekshumacyjna bez żad-  
nego wyjątku. I była to naprawdę wielka  
chwila.

Słowa nie są w stanie oddać również  
wzruszeń dnia następnego.

10 sierpnia 1991 roku, po pięćdzie-  
sięciu jeden latach od skrytobójczego  
mordu, nad otwartą mogiłą z ekshumo-

wanymi szczątkami i mogiłami nie odkrytymi, a istniejącymi w pobliżu, w Leśnym Parku Charkowa, w miejscach już znanych i jeszcze nie ustalonych, rozległy się dźwięki Mazurka Dąbrowskiego.

Nikt nie wstydził się łez.

A potem padają mocne słowa. Najpierw z ust szefa Urzędu Rady Ministrów, Krzysztofa Żabińskiego. Przypomina, że wśród 3.295 pomordowanych oficerów było 8 generałów i 150 pułkowników i podpułkowników. Zabitych zostało blisko 20 profesorów wyższych uczelni, około 400 lekarzy wojskowych i cywilnych, kilkuset sędziów, prokuratorów i adwokatów, oraz około 100 nauczycieli. Zginęło także 600 oficerów lotnictwa, cały personel Instytutu Przeciwigazowego WP, prawie wszyscy pracownicy Instytutu Uzbrojenia, kilkudziesięciu literatów i dziennikarzy, wielu działaczy społecznych, a także kapelani - księża katolicycy i prawosławni, pastory i rabini. Dokonaną zbrodnię miały na zawsze ukryć kłamstwo i las. Mijający czas zdawał się czynić charkowskie mogiły zapomnianymi. Ale istnieje - powiedział minister - wieczysta sprawiedliwość boża, wieczyste sumienie ludzkości. I po pół wieku przyszedli tu reprezentanci prawowitych władz III Rzeczypospolitej, aby wznieść mogiłę i postawić prosty drewniany krzyż. Dla tych, których nazwiska i zasługi są znane. I powiedzieć im, że w Ojczyźnie nie zostali zapomniani.

W uroczystości pogrzebowej wzięli udział księża katolicycy, biskup prawo-

sławny, pastor kościoła ewangelicko-augsburskiego, a także przedstawiciel społeczności żydowskiej.

Żałobną mszę świętą odprawił biskup polowy Leszek Stawoj Głódź. Homilię rozpoczął od znanych słów: „Brukowały wasze kości złotą drogę ku wolności”. I powiedział, że przybyliśmy tu z wolnej Polski. Przyszliśmy na tę ziemię, gdzie dokonał się kainowy grzech. Z ręki Słowian na pobratymczym narodzie słowiańskim. Kainowy grzech - kainowa wina. A następnie dodał, że prawdziwa pokuta prowadząca do pojednania musi być poprzedzona wyznaniem winy i zadośćuczynieniem. Modlimy się - mówił biskup - w duchu chrześcijańskiego przebaczenia i miłości. Pragniemy żyć w braterstwie i pokoju, przerwać to pasmo zmagania, z szańca na szaniec, z wału na wał. Zaakcentował, iż „umarłych pogrzebać” to nie tylko wymóg prawa bożego, lecz również zapis konwencji genewskiej. Dlatego wszyscy pomordowani zasługują, mają prawo do godnego pogrzebania i cmentarza.

Do mogiły, w której uprzednio złożono 9 trumien, opuszczono jeszcze jedną trumnę, spowitą w narodowe barwy ze wstęgą Krzyża Virtuti Militari. Kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego oddała salwę honorową. Przed odegraniem przez orkiestrę wojskową Marsza Żałobnego Fryderyka Chopina zabrzmiały cicho dźwięki innej melodii - podjętej z przejęciem: „Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni Tobie.”

*W następnym numerze część II Ostaszków-Miednoje*